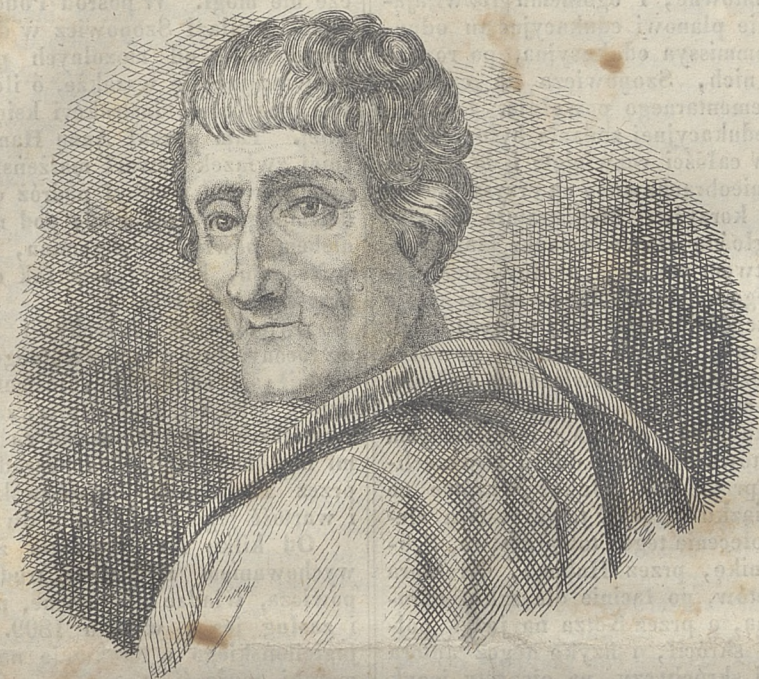


Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY.

No. 10.

Leszno,
dnia 5. Września 1840.



Franciszek Szopowicz

Franciszek Szopowicz.

Franciszek Szopowicz,

doktor filozofii, wysłużony professor w Uniwersytecie jagiellońskim w Krakowie, były senator Rzeczypospolitej krakowskiej, członek uczonych towarzystw.

Franciszek Szopowicz był jedynym synem Franciszka Szopowicza, potomka niegdyś żołnierza polskiego; urodził się roku 1762. na Zmudzi w powiecie połongowskim. Pierwiastkowe wychowanie i nauki pobierał w domu od ojca, dalsze u księży Jezuitów w Krożach, a po ich zniesieniu, w Kretyndze, w szkołach przez księcia Massalskiego, biskupa wileńskiego, założonych; gdy zaś te chlubnie ukończył, kosztem ojca do Akademii wileńskiej wysłany został. Z jakim zapałem i z jaką pilnością garnął się Szopowicz do nauk, i jak dalece między wielu kolegami potrafił się w nich odznaczyć,

najlepiej to przekonywa, że w 19tym roku życia swego z siedmiu innymi towarzyszami nauk przez komisją edukacyjną do stanu nauczycielskiego powołany, i w tymże roku (1781) pod opieką i strażą księdza Strojnowskiego Pijara, później biskupa wileńskiego, jako kandydat stanu nauczycielskiego, do Krakowa kosztem publicznym wysłany został. Doskonalać się w wyższych naukach w uniwersytecie jagiellońskim, już podówczas wedle myśli komisji edukacyjnej przez księdza Hugona Kołłontaja zreformowanym, w przeciągu czterech lat bieg nauk dla kandydatów przepisany ukończył; a sposobiąc się szczególnie na nauczyciela fizyki i matematyki pod Janem Sniadeckim, mianowany został professorem tych przedmiotów w szkole przy głównej krakowskiej 1785. r. Po dwuletnim w tej szkole zawodzie nauczycielskim Szo-

powicza, przeznaczono go jako profesora matematyki i logiki do szkół warszawskich.

Dwadzieścia kilka lat wieku licząc wówczas, ośmielił po raz pierwszy pióro swoje, i napisał uwagi nad arytmetyką i algebrą Lulijera, a wychnawszy jednocześnie niedostateczność logiki Kondyllaka, oba te dzieła komisji edukacyjnej pod rozważę podał. Uwagi te były tak gruntowne, i ogólnemu rozwijającemu się właśnie planowi edukacyjnemu odpowiednie, że komisya edukacyjna, po rozpatrzeniu się w nich, Szopowicza na członka towarzystwa elementarnego powołała.

Komisji edukacyjnej zadanie było jednem z tych, które w całości rozwinięte i do skutku przywiedzione, nieobrachowane na przyszłość dla kraju rokowało korzyści. Magistratura ta, złożona z osób, głośną sławę z nauki mających, pod przewodnictwem mężów, zamiłowaniem dobra powszechnego wiedzionych, czynności swoje odznaczała szczególniej trafnością wyboru ludzi, których do zawodu nauczycielskiego powoływała; tak i wezwanie Szopowicza na członka towarzystwa elementarnego, o ile ze względu na jego młodocianne wówczas lata, jemu samemu chluby, o tyle towarzystwu i dobru powszechnemu korzyści przyniosło. Jakoż wkrótce po przyjęciu obowiązku członka towarzystwa elementarnego, z polecenia tegoż towarzystwa, Szopowicz, mechanikę, przez Hubego, dyrektora w korpusie kadetów, po łacinie dla szkół narodowych napisaną, a przez Kotza na język polski przełożoną, skrócił, i fizykę tegoż autora do trzeciej części skróciwszy, na ojczysty język przełożył.

Oddawszy się Szopowicz z całym zapalem młodocianego wieku nieustannej pracy i naukom, w roku 29. życia tak gwałtownej podpadł słabości na oczy, iż nie tylko w zawodzie nauczycielskim, ale i winnych posług publicznych nie mógł. W tak krótkim zawodzie bolesnym i kalectwem grożącym cierpieniem dotknięty, znalazł tę pociechę, że komisya edukacyjna, jako mężowi ze wszech miar pracą i przymiotami zaleconemu, stósownie do ustaw téjże komisji, opatrzenie i pensyą przyrzekła. Zamieszania atoli krajowe i stan ówczesny skarbu publicznego, nie dozwoliły, aby się Szopowicz skutkiem tego zaręczenia pocieszał.

Tą koniecznością zniewolony, znalazł Szopowicz wytchnienie w domach, które chętnie do siebie uczonych tuliły, i na jakich wówczas niezbywało; a gdy stan jego choroby na oczy do tego stopnia się pogorszył, iż przez kilka miesięcy zupełnie nie niewidział, zmuszonym był udać się do Wiednia, celem zasiągnięcia rady sławnego wówczas okulisty Smitha. Zyskał kraj na tém, zyskała liczna młodzież obywatelska, której instrukcyą Szopowicz później prywatnie się zajmował; Smith bowiem Szo-

powicza z grożącój niebezpieczeństwem słabości wyleczył, i zdolnym do prac i posług oświeceniowych uczynił. Idąc atoli za radą zbawcy swojego zdrowia Szopowicz, z całym umiarkowaniem i wstrzemięźliwością ulubionemu zawodowi swemu oddawać się musiał; i to go stawiło w konieczności, iż publicznie, do czego ciągłej i mozolnej pracy potrzeba, nauczać jeszcze nie mógł. W pośród Podola i Ukrainy równin, znalazł Szopowicz w domu Prota Potockiego miłe od mozolnych prac wytchnienie, poświęcając się wszakże, o ile stan jego zdrowia pozwalał, instrukcyi księżniczki Lubomirskiej. Tam poznał Annę Hanównę, z którą później związek zawarł małżeński; z tych miejsc przedsięwziął i odbył podróż do półwyspu śródziemnego morza, gdzie pod miłym i pogodnym niebem bawiąc na przemian, to w Rzymie, to w Neapolu, blisko przez rok cały, do zdrowia przyszedł zupełnie.

Zwiedziwszy Włochy i kraje niemieckie, zwrócony do życia prywatnego, od roku 1795. trudnił się edukacją i instrukcją tak swoich dzieci, jako też synów pierwszych domów obywatelskich. W tym czasie zasiłał pracami swemi filozoficznymi pismo peryodyczne *Pamiętnik*, przez Franciszka Dmochowskiego wydawane, i wartość jego naukową podwajał.

Od kilku lat prywatnie żyjącego na wsi, wychowaniem młodzieży trudniącego się Szopowicza, władze edukacyjne, pamiętne zdolności i zastęp jego, w roku 1809. do uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie na profesora matematyki wyższej powołały z zacisza; ale stan jego zdrowia i przyjęte względem będącej u niego na wychowaniu młodzi obowiązki, nie pozwoliły mu objąć tego urzędu. Odtąd jednakże Szopowicz ciągle w zawodzie literackim pracował, a znoszenie się jego naukowe z księdzem Onufrym Kopczyńskim, względem języka polskiego, mianowicie jego pisowni, taką mu wziętość w towarzystwie przyjaciół nauk warszawskiem zjednało, iż na członka został wezwany. Wywięzując się rychło z zaszczytnego dla siebie powołania Szopowicz, w roku 1811. przesłał towarzystwu naukowemu obszerną swą rozprawę: *O pisowni polskiej*, jeszcze w roku 1809. napisaną, a dopiero w roku 1827. w Krakowie drukiem ogłoszoną. Zmiany w pisowni polskiej przez niego w tej rozprawie za potrzebne uznane, tyle się z naturą naszego języka zgodnemi okazały, iż za powszechne prawidła pisowni obecnie są przyjęte. Jakim Szopowicz był miłośnikiem mowy ojczystej, i jak uprawę jej był zajęty, przekonywa następujący z tej rozprawy wyjątek:

„Jakże więc ważną ze wszech miar jest rzeczą dla Polaka, ród swój, a tém samém i własną mowę miłującego, ażeby ta najdroższa i najpewniejsza częśćka dziedzictwa od naddziadów mu zostawiona, ten szanowny ich myśli i uczu-

cia wizerunek, wiernie pielęgnował, nad zachowaniem wybornego charakteru jego czuwał, prostował zdrożności, jeżeli jakie w nim z czasów przeszłych pozostają, lub z czasów późniejszych weń się wkradły; słowem, ażeby wiernie dochowany i bacznie udoskonalony przesłał wiekom następnym, jako zabytek wdzięczności dla przeszłych, a upominek miłości ku przyszłym plemienia swojego pokoleniom. Wy zaś rodzice! których los przyjaźni w tak dogodnej postawił kolei, że możecie dzieciom waszym takie dawać wychowanie i naukę, jak się wam tylko podoba, nieuprzedzajcie się cudzoziemczyzną; niech się o ucho niemowląt waszych obce nasamprzód nie obijają tony, niech ich usta poczynając naukę mowy, brzmia nasamprzód wyrazami mowy macierzystej. Iżaliz i w tym razie gruby nami powodować ma przesąd: Co cudze, to lepsze? Przyjdzie ten czas, i nie zadługo, że obce narody, poznawszy przyrodzenie mowy naszej, zadrościć nam jej będą, jako tak obfitej w rozliczne tony dla ucha, tak sposobnej do wywężenia narzędzi mownych, tak prostej, co do pisowni i czytowni, co jest skutkiem doskonałości abecadła naszego, jakiego inne języki względnie brzmień swoich nie mają.“

Kończy zaś rozprawę tę godnym uwagi następującym zagadnieniem: „*Jakie być mogą sposoby, za pomocą których możnaby ochronić każdy język od zmian wymawiania, jakim podlega przechodząc przez usta pokoleń następnych; a tём samém, jak przestać najpóźniejszej potomości brzmienia jego nieskądzone, choćby tём nie stało na kuli ziemskiej narodu, którego by on był językiem macierzyńskim?*“ Jakkolwiek jednak zupełne rozwiązanie tego zagadnienia zdaje nam się być niepodobnym, wszelako się szlachetnym pobudkom i chęciom autora część przynależy.

W roku 1815. posłał Szopowicz towarzystwu naukowemu przekład: *Uwag Jana Śniadeckiego*, w Paryżu po francuzku napisanych i do druku podanych, nad miejscami dzieła Willersa: *O reformie Lutra*, do interessów Polski ściągającami się.

W roku 1818., z siedmiorgiem dzieci swoich, i niektórymi uczniami swój prywatnej szkoły, potrzebującymi już nauk uniwersyteckich, przybył do Krakowa, gdzie wkrótce katedrę matematyki objął, i obowiązki te jako professor ordynaryjny, doktor filozofii i członek uczonych towarzystw warszawskiego i krakowskiego, aż do roku 1833. z chlubą dla siebie, z zaszczytem dla uniwersytetu i pożytkiem dla młodzieży sprawował.

Od czasu, w którym Szopowicz w Krakowie do zawodu nauczycielstwa publicznego powrócił, zakres jego prac, powszechności pożytecznych, stał się rozleglejszym. Będąc professorem publicznym matematyki w uniwersytecie jagiellońskim, nieprzestał zajmować się prywatnym wy-

chowaniem i nauką licznej młodzieży. Obok tych prac mozolnych, którym zwykle przy pomocy innych nauczycieli sam się oddawał, sprawował ciągle z największą gorliwością obowiązki wizytatora i eksaminatora szkół gimnazjalnych, członka komitetu ekonomiczno-budowniczego miasta Krakowa, członka komitetu budową pomnika Tadeusza Kościuszki trudniącego się, i członka towarzystwa dobroczynności.

W roku 1823. ogłosił drukiem rozprawę: *O znaczeniu ilości*, z którego wynika przedmiot, granice i zawisłość trzech głównych części matematyki, to jest: geometrii, arytmetyki i algebry, oraz się potwierdza ta prawda, że najodważsze wyobrażenia nasze, winniśmy pierwotkowo zmysłom.

W roku 1831. Szopowicz wybranym został przez zgromadzenie akademickie, jako senator do zasiadania w składzie rządu Rzeczypospolitej krakowskiej, a w roku 1833. zyskawszy pensją emerytalną, po czterdziesto-ośmioletnim zawodzie nauczycielstwa, udał się na spoczynek. Już wówczas ani nauczycielstwem prywatnym, ani publicznym niezajmując się, spędzał błogie po pracach chwile wytchnienia; które wszakże niczem innym, jak tylko dalszym ciągiem prac jego umysłowych były. Tyloletnie zajmowanie się nauką i kształceniem młodzieży, zamieniło się w Szopowiczu w nałóg i potrzebę życia, i siedmdziesiątletni przeszedł starzec z upodobaniem otaczał się pięciorgiem wnucząt swoich i one pierwszych prawideł czytania i rachunków nauczał. Do ostatnich prawie chwil życia zajmował się pracą nad dziełem matematycznym pod napisem: *Arytmetyka wyrozumowana*. Dzieło to obszerne, dotąd w rękopismie znajdujące się, życzyłby należało, ażeby jako niedostateczność wszystkich innych w tym przedmiocie zastępujące, za elementarne dla szkół przyjęte i drukiem ogłoszone być mogło; a to tём bardziej, gdy ile zniem obeznani jesteśmy, tём główną ma zaletę, że przy pomocy dzieła tego, uczeń od pierwszych wyobrażeń o liczbach do najwyższego rachunku arytmetycznego, sam bez innego przewodnika dojść z łatwością zdoła. Do napisania podobnego dzieła, nietylko samój znajomości przedmiotu potrzeba było, ale nadto długoletniej praktyki w zawodzie nauczycielskim, i to tak z dziećmi liczyć początkującymi, jak i do wyższych pojęć matematycznych doprowadzonymi. Jest to więc dzieło, któremu rzeczywicie kilkudziesiąt-letnią pracą Szopowicz poświęcił, i któremu równego, przynajmniej w naszym języku, niemamy.

Za takie prace i mozolny zawód nauczycielstwa publicznego i domowego, doznał tём Szopowicz nieraz w życiu swoim wyższej nad wszelkie inne nagrody. Dzień jego imieniem bywał zwykle w jego domu chwilą uroczystego rozrzewnienia; otoczony licznym gronem dorosłych już swych dzieci, odbierał w hołdzie uwielbie-



Śmierć Samsona.

nia i wdzięczności powinnowania uczniów swoich. Któż z obecnych nie doznał najwyższego wzruszenia, widząc w licznie zgromadzeniu tych uczniów, dziesięcioletnie dzieci, młodzieńców dojrzewających i dojrzałych, i ludzi już pięćdziesięcioletnich przeszło, pierwsze w kraju piastujących dostojenstwa, a wszystkich zarówno przy wynurzeniu życzeń, w dowód wdzięczności i poszanowania na poświęconym wiekiem i pracą mistrza rękę pocałunek składających.

Szopowicz miał ten szczególny i tak rzadko podeszłemu wiekowi właściwy przymiot, iż do ostatnich chwil życia nieprzestawał nad sobą samym pracować, dzieląc to przekonanie, że człowiek w naukach i wiadomościach, pomimo wieku podeszłego, starzec się nie powinien; od najmłodszych lat matematyce i filozofii, ale nie spekulacyjnej oddany, naukom, które zwykle człowieka wstósunkach świata, a szczególnie

w tym, co piękność jego przyrody stanowi, zimnym, obojętnym i wyrachowanym czynią, zachować umiał, w sercu, w duszy i w pojęciu swoim, przystęp i zapal dla tego wszystkiego, co tylko wzniosłem, szczytnem, estetycznie pięknem być mogło. Matematyk i filozof unosił się do rozrzewnienia nad poezjami Mickiewicza, muzyka zajmowała wszystkie wolne od zatrudnień jego chwile: sam grając na harfie, dzieci własne uczył początków muzyki na fortepianie. Obok zaś tej tkliwości, jednej z pierwszych ozdób duszy człowieka, umiał Szopowicz w każdym nieszczęściu, które dom jego dotknęło, zachować to męstwo i stałość, które niezaprzeczony wielkości oddają duszy świadectwo. Z religijną i filozoficzną rezygnacją zniósł straty trojga ukochanych dzieci, jednego syna w 22tym roku życia, pełnego najpiękniejszych nadziei młodzieńca, drugiego w 25tym roku wieku, w stopniu kapi-

tana artylerii w wojsku belgijskim będącego, i trzeciej córki zamężnej, która z cnót, wdzięków i pięknych talentów tyle była znana.

Szopowicz miał związki z wszystkimi uczonymi ziomkami jemu współczesnymi; liczne korespondencje naukowe z księdzem Kopczyńskim, Franciszkiem Dmóchowskim, Janem i Jędrzejem Śniadeckimi, księdzem Hugonem Koffontajem, Ignacym Potockim, księdzem Piramowiczem, i Julianem Niemcewiczem, przekonywają, jak wysoko od nich był cenionym, i jak wiele na jego krytycznym zdaniu polegano.

Ten krótki obraz publicznego i prywatnego życia Szopowicza i wyszczególnienie jego prac literackich, słabe tylko i niedostateczne o jego charakterze, nauce i zasługach dają wyobrażenie; kto jednak znakomitą nauką, wzorowymi przymiotami serca i duszy, niezmordowaną gotowością poświęcenia się dobru powszechnemu, i zostawionemi po sobie dziełmi, tyle co Franciszek Szopowicz potrafił zjednać dla siebie uwielbienia i wdzięczności, ten, jeżeli nie nawzawsze, to przynajmniej na bardzo długo w pamięci pozostałych i następnych pokoleń żyć powinien. Szopowicz, wysłużony professor matematyki w uniwersytecie jagiellońskim, był senator Rzeczypospolitej krakowskiej, członek uczonych towarzystw, skończył pełne zasług i cnót domowych i obywatelskich życie w dniu 5. Maja 1839. r., mając lat 77. Siły fizyczne na usługach publicznych stargawszy, zachował do ostatniej chwili, serce pełne najwyższych uczuć, umysł świeży i niezmordowany, pamięć zadziwiająca, a jego stałość i mężstwo, z jakimi zbliżający się swojego życia kres widział, były cechą tej wielkiej duszy, która napojona zasadami czystej religii i zdrowej filozofii, w każdej chwili życia, a nawet w chwili zgonu, więcej jak niepospolitym robi człowieka.

Cześć popiołom twoim! Cześć pamięci twojej, mężu! którego życie było nieprzerwanym pasmem cnoty i zasług. Przyjmij szanowny cieniu tych kilka wspomnień nieudolnie skreślonych, jako hołd wdzięczności tego, który z zgonem twoim łączy pamięć straty najdroższej dla siebie istoty.

Kraków, dnia 1. Maja r. 1840.

J. D.

Śmierć Samsona

przez
Gerarda Hoet.

Twórca tego pięknego obrazu urodził się w Bommel 1648. r. Pierwsze początki rysunków pobierał od swego ojca, który na szkło malował. Potem kształcił go sławny Wernher van Rysen, śmierć atoli jego ojca, przymusiła młodego malarza przerwać chlubnie rozpoczęte ćwiczenia, a poświęcić się łącznie z bratem

malarstwu na szkło, aby zapobiedz niedostatkowi grożącemu osieroconej rodzinie. Gdy Francuzi wkroczyli do kraju, schronił się do Haagi, gdzie zrobił kilka olejnych obrazów, dla ich ozdobnego wykończenia powszechnie podziwianych. Hoet przedsięwziął kilka podróży, szukając zatrudnienia dla swego pendzla, ale mu się to nie udało. Nareszcie osiadł w Utrechcie; tu usiłował nakłonić władze miejscowe do założenia malarskiej akademii pod jego przewodnictwem; lecz, gdy się do jego przełożenia przychylić nie chciano, nie pozostało mu nic więcej, jak w swym własnym domu otworzyć szkołę malarską. W roku 1714. udał się do Haagi, gdzie już aż do śmierci, to jest do roku 1733., gorliwie i nie bez pożytku pracował, i tej właśnie epoce winna jest potomność jego najprzedniejsze utwory. Hoet malował z dziwną łatwością, i jego nadzwyczajna pamięć była mu w tym względzie pomocną. Osobliwie obyczaje i zwyczaje starożytnych narodów były mu w najdrobniejszych szczegółach znajome. Tymczasem prawdziwi znawcy zarzucają mu, że spuszczać się zbyt niebezpiecznie na swą naukę, zaniedbywał natury. Jego mniejsze obrazy zasługują na zaletę dla ich delikatnych zarysów i doskonałego kolorytu. Między jego najcenniejszymi dziełami zajmują pierwsze miejsce: Porwanie Sabinek; przymierze między Rzymianami i Sabinami; zaślubienie Roxany Alexandrowi; Cleofas w towarzystwie swych kobiet, podający wino Alexandrowi; wiejski taniec; dwa krajobrazy z ruinami i figurami; Cloelia, Tyber przebywająca. Wielka idea zgruchotania jednym zamachem nieprzyjaciół kraju, nie może być lepiej oddaną, jak w obecnym prawdziwie wzniosłym obrazie, gdzie silny Samson, poświęceniem własnego życia, grzebie w gruzach tysiące niezbożnych Filistynów, ojczyznę jego uciemiężających.

Słobodyszcze, powiastka,

przez

Michała Czajkowskiego.

2.

Mężczyzna był Piotr Jakubowski, półkownik czechryńskiego kozackiego pułku, a niewiasta Anna Jabicka, córka Szymona Jabickiego, także pułkownika kozackiego kaniowskiego pułku, dwa lata temu niespełna jednym miesiącem poślubiona małżeństwem Piotrowi Jakubowskiemu.

Trzy lata temu nim jeszcze Bohdanko Chmielnicki, rozszluszczony do reszty na polskich panów, może więcej bezrozumny jak występny czynem, wezwał ku pomocy Moskwę, i chcąc skrócić wybruki, wziął w karby ładu i rząd szlacheckiej Rzeczypospolitej, zadawał śmiertelny cios matce Polsce, i sam z nierozważnego człowieka kierował się na wielkiego zbrodniarza,

a swojego sprzymierzeńca białego cara narzucił lackiej kozaczynie na pana. Wtenczas to Szymon Jabicki posłany z kaniowskim pułkiem na zimowe leże po nad kozaczy Teterów, mieszkał z żoną i dziećmi w starym Cudnowie.

Panna Anna wówczas miała siedemnaście latek, oh! i zdrojowa woda nie była świeższa, hoższa od niej, i trzcina niesmuklejsza, niewiotrza od jęj kibicia, jak wiewiórka tak się wywijala, tak się łasiła; jak raz rzuciła oczkiem na młodzieńca, to aż mu serce na wskrós przeszła; jak się uśmiechnęła do niego, to aż mu lubo i miło, a tak serdecznie, że nietylko konia i spise, ale i słuchę gotowby dla niej oddać, a kiedy go rączką dotknęła, to mu krew w ciele kipiała jak war, a oczy jak żar się żarzyły; oj, cudna była dziewczyna, rodzima Laszka, bo pan Szymon Jabicki, herbowy lacki szlachcic, kość z kości, krew z krwi jednego z towarzyszków Przeclawa Lanckorońskiego, co to zaszli za Dnieprowe porohy, hulacko turbować Bismurmana; swojemi piersiami stawić szaniec Tatarzynowi, dla bezpieczeństwa matki Polski.

Szymon Jabicki niebył bogaty, ani w srebro, ani w złoto, ani w kitajki, ani w damaszki; za młodu, co łupem nagrabił na wojnie, to w czasie pokoju przechulał z bracią Kozakami, zwyczajnie po kozaczu. Jak się żenił z panną Anną Łobodzianką, miał kozaczy strój, szablę, konia z kulbaką i nic więcej. Po ożenieniu się, majątek jakoś nieprzyrastał, ale co dzieci, to przymnażało się bez liku. Pan Bóg go kochał, bo dziećmi darzył, a djabeł nienawidził, bo pieniądzy nienasajał. W sześćdziesiątym dziewiątym roku swojego życia, miał dziesięciu synów i córkę jedynaczkę, więcej kopy ran od szabli, od spisy i od kuli, siły czepkie, szablę ostrą, dziarskie konie i duszę hulaczą, kozaczą, a do tego żołąd pułkownikowski, corocznie płacony przez króla Jegomości i Rzeczpospolitą polską, i przy tém oberchapką na wojnie i w pokoju, więcej niczego niepotrzebował. Synów wszystkich dziesięciu powysyłał do Kurenów Zaporozą, do pułków rejestrowych, jednem słowem, porobił Kozakami; każdemu staropolskim obyczajem dał na drogę, dukat w rękę, i trzydzieści batogów na kobiercu: powtarzając, słuchaj i szanuj starszych, a bij wroga, to wyjdiesz na człowieka. O córkę wcale się nieturbował, zawsze swojej starej żonce mówił: ciekawa dziewczyna, nieleniwa; za chłopcami niebiega, w posagu ma poddostatek urody, a do tego dodamy naszą i naszych rodów dobrą sławę, znajdzie męża.

I prawdę mówił, rojem chłopce wieścili się koło panny Anny, ale między nimi było dwóch, co nad wszystkimi réj wodzili; Piotr Jakubowski, szlachcic herbowy polski, już podówczas assawuła przy panu atamanie Chmielnickim, pan i dziedzic nad-hujwianskiej Andruszówki, i Dymitr Mohyla, istnego kozaczego rodu, towa-

rzysz Diatkowskiego, Kurenia na Zaporozu, ale pan i dziedzic Słobodyszcz, i mnogich włóści po nad Hnyłopiatem.

Jakubowski więcej trzydziestu lat liczył, w obozie one przeżył; był on piękny i okazały mężczyzna; choć trochę surowy postawą i obyczajami, miał serce, co mogło i umiało kochać, ale przy tém miał upór rodzimy Rusina, co to zawsze jedną i tą samą dumkę śpiewa, bądź co bądź, jak ja chcę to tak być i musi, i z Panem Bogiem zerwę, i z djabełem się pobratam, żeby postawić na swoim, choć potem pożaluje swojej roboty, to kroku niecofnie, dalej brnie a brnie, woli żeby gadano: łotr źle robi, jak żeby powiedziano: czego chciał, tego nie zrobił; co mu się dziś zachciało, to mu się jutro odechciało.

Mohyla ledwie skończył dwudziesty trzeci rok; krasiwym młodzieniec, pyłki, namiętny, zwyczajnie Kozak, do wszystkiego brał się serdecznie, z zapalem. Kiedy go raz zapal pochwycił, to go zaniósł tam, gdzie żaden rozum, żaden upór niezanieśie. On, jak kochał, to kochał, jak to mówią, na zabój.

Serduszko panny Anny od razu skłoniło się do młodego Kozaka, bo on jęj i ustami szeptał w ucho słowa kochania, i twarzą i oczyma kochania okazywał, a surowy Jakubowski, chociaż kochał i dobrze kochał, swojemi zalotami więcej poszanowania i strachu, jak miłości w dziewczynie wzniecał. Anna kochała Dymitra i tego przed nikim nietała; państwo Jabiccy oboje sprzyjali Kozakowi. Matka dla tego, że dostatni pan, ojciec, że hulaczy młodzieniec, przylepka, dawne lata mu przypominał. Dwa razy Mohyla z Jakubowskim rabali się w pałasze o pannę, i dwa razy Jakubowski okiereszowany, musiał Mohyle dać pole. Już były zaręczyny między panną Jabicką a panem Mohylą, i ślub miał nastąpić niebawem, kiedy nadeszły owe przygody nieszczęścia na Polskę, owa wojna domowa zapalona przez Chmielnickiego, a w późne lata skończona zgubą kozaczyni, i złą dolą Polski.

Jabicki dostał rozkaz od Chmielnickiego, żeby co prędzej szedł do Białej-Cerkwi z pułkiem; stary pułkownik wahał się, czy ma usłuchać rozkazów atamana, czy zaprowadzić pułk do panów hetmanów polskich; ale w końcu przemogła powinność żołnierska i uczciwość wojskowa, nad przewidywaniem i obawą Polaka, on jeszcze niewiedział o zamysłach Chmielnickiego, tylko się domyślał, poszedł do Białej-Cerkwi z pułkiem, i zabrał z sobą żonę i córkę, mówiąc Mohyle: „W Białej-Cerkwi was pozenie, ojciec atamanie nieodmówi prowadzić mojej córki od ołtarza.“ Kochankowie przy pożegnaniu popłakali trochę, ale wzajem sobie powiedzieli: „zobaczymy się za kilka dni.“ Mohyla byłby razem z nimi pojechał, ale odebrał naglące wezwanie i musiał stawić się co pręd-

dzęd u rodzzonego brata swojej matki, księcia Dymitra Wiszniowieckiego.

Jakubowski, assawuła Chmielnickiego, wiedział cośkolwiek o zamysłach atamana, choć niewszystko; bo Chmielnicki zawsze powiadał: tylko Bóg święty, a może djabeł drugi, wie co ja dumam, co ja knuję, a więcęć nikt; i tak robił. O tém zaś dobrze Jakubowski wiedział, że Mołyła i przez swoje pokrewieństwo z księżętami Wiszniowieckimi i Zbarazkimi, i przez uczucia swojego serca, będzie z Lachami jedno trzymał zawsze i wszędzie. Widział zaś cafe wahanie się Jabickiego; z tém wszystkim pobiegł do attamana: „będzie ona moja — będzie ona moja,” powtarzał sobie samemu w myśl przez całą drogę, jakby ukochaną śpiewkę.

Niebawem wykryły się na jaw zbrodnicze zamiary Chmielnickiego. Stary Jabicki został zelżonym przez atamana, okuto go w kajdany i uwięziono wczehryńskim zamku. O Mołyłe przyszła wieść, że własnym kosztem wystawił pułk kocaczy, i z nim poszedł pod znaki księcia Wiszniowieckiego, służyć królowi Jegomości i Rzeczypospolitej polskiej. Jakubowski zaś został pułkownikiem czehryńskiego pułku; była to pierwsza nagroda pierwszej zdrady.

Darmo stara Jabicka i młoda Anna do nóg rzucały się Chmielnickiemu, łzami zlewały kobierce, po których on deptał, jękiem prósy głośiły pod jego namiotem. On rozsierzony, pijany gniewem, a może i trunkiem, wołał: „Precz, precz, kto mnie co duch niesłucha, temu na gardło miecz;” i wypędził z pod namiotu, jak wyganiają natrętne psy, albo dziada żebraka z wydymkiej izby.

Tegoż samego wieczora stawił się przed niemi Piotr Jakubowski, smutny, ale surowy, bez żadnych przedwstępów wprost powiedział: „Mam rozkaz atamański, ale mogę go odprościć, jutro albo Anna Jabicka będzie żoną moją, Piotra Jakubowskiego, albo Szymon Jabicki straci życie, jedno z dwojga, do wyboru.” Stara Jabicka jak bóbr płakała, a Anna bez łzy w oku przystąpiła do Jakubowskiego, podała mu rękę. „Jutro Anna Jabicka będzie żoną Piotra Jakubowskiego, ale dziś jeszcze niech ataman wyda rozkaz uwolnienia mojego ojca.”

W godzinę później pojechał Kozak z rozkazem do Czehryna, aby uwolnić starego Jabickiego z więzienia, i razem zawziął mu mianowanie na dowódcę baturyńskiego zamku. Nazajutrz dzień był ślub Anny Jabickiej z Piotrem Jakubowskim, i sam ataman Chmielnicki odprowadzał nowo zaślubioną od ołtarza; to była druga nagroda dawniej zdrady i dzisiejszego dobrego czynu.

Za nadejściem Moskwy, Chmielnickiego pułki szarańczą sunęły na matczyne, a Jakubowski dowodził przedniemi strażami, i laską ręką mordował braci Lachów, pustoszył polską ziemię. Po Słucz, za Słucz, ataman niewiara ob-

sadził kraj ojczysty, swoimi, buntowniczymi pułkami, a Moskwa wszędzie po zamkach, po grodach załogi postawiała, żeby na wodzy trzymać Chmielnickiego i przyuczać go do jęj panowania; i w kraju polskim siać ziarno swojej władzy. Jakubowski wtenczas dostał na posiadanie Słobodyszczce i mnogie włości, dziedzictwo Mołyły.

Z początku wojny widziano Dymitra Mołyłę, jak na czele swojego pułku, ścierał się razno, ochocz, walecznie z buntowniczą bracią, i po swojemu mordował wrogów, ale potem stracono o nim wieść i opyt, czy zginął na wojnie, czy poszedł w jakie inne miejsce brońnię matkę Polskę i walczyć za nią.

Piotr Jakubowski sprowadził żonę i zamieszkał w Słobodyszczach, tak kazał pan ataman Chmielnicki, a z Bohdankiem niema co sporzyć, kiedy on każe. Jego niewiele kosztuje rozkaz; zetnij mu łeb, a zmartwychwstanie po śmierci już się nieprzydarzało w tych niedobrych czasach. Anna powiła syna mężowi, ale jak przedtém, tak i potem zawsze była jednaka; zimna, smutna, obojętna nawet, ale cierpiąca, jawnie ni razu się nieuśmiechnęła do swojego dziecięcia, ni razu niezapłakała przed mężem; a co potajemnie myślała, tego nikt niewiedział, oprócz spowiednika, a ten nikomu nic niemówił. Nikła na krasie, terała w sobie zdrowie, cierpieniami duszy i serca snuła wątek życia. I mąż cierpiał, i tak oboje żyli w nieszczęściu.

3.

Kilka dni upłynęło od tej chwili, w której Anna po raz pierwszy od dwóch lat zapłakała w przytomności męża; oh! jakże to wiele dobra zrobiło, zdaje się, że z temi łzami, choć ciężko, ale pomalutku wypływał osad cierpienia, trawiący serce, jak rdza żelazo. Od tej chwili, czy to z mężem rozmawiała o Dymitrze, czy to dziecinę swoją pieściła, czy pozieriała okiem po Słobodyszczce stepach, czy spojrziała na pierścien swoich zaręczony z Dymitrem, zawsze trochę popłakała, i zawsze potem piękniejszą i hoższą była, nawet uśmiech, dawny wygnaniec z jęj oblicza, od czasu do czasu nawiedzał jęj usta, i krótką chwilkę bawił się z niemi, i słodkim wdziękiem życia umiłał to życie, dotąd tak smutne, tak martwe.

Bolesném było mężowi to lekarstwo, które wynalazł na chorobę żony, ale on przy swoim uporze, przy wszystkim swoim złem, miał w sercu i dobro. On nieraz sobie powtórzył, ja jestem twórcą i dawcą jęj nieszczęścia; niechże przynajmniej jęj ulgę nosę, choćby ofiarą własnego szczęścia, choćby wolném samobójstwem życia; nie dla mnie szczęście; ona mnie nie kocha, a ja tak ją kocham; na co mnie życie, żeby na mnie ludzie krzywo patrzyli, a ja sam siebie nienawdził; tak rozmyślał, i żonie ciągle gadał o Dymitrze; to przypominał dawne

miłostki; to bolał nad jej losem i nad jego; często lękał się, czy Dymitra jakie nieszczęście nie spotkało, i zawsze obiecywał: niech tylko zjawi się między nas, to mu wyjednam zgodę z atamanem, i oddam wszystko, co tylko do niego należy. Anna za jego słowa płaciła mu łąką wdzięczności, i uśmiechem wdzięczności, i jedną i drugim pruća po jego sercu, jakby ostrzem noża; on cierpiał i kiedy niekiedy marzył bawidełko nadziei, wdzięcznością przywyknę do mnie, a kto wie, czy potem niebędzie mnie kochała, i tym sposobem postanowił uzyskać kochanie niekochającej siebie, ale przez siebie kochanej niewiasty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jeszcze słówko o nowój erze poezyi polskiej.

Minął czas szalów i uniesień; — należy oddać sprawiedliwość i winny hold prawdzie i zastugom.

Mylą się panowie krytycy, którzy nową epokę poezyi naszej od Mickiewicza (Zienkiewicz, Grabowski i inni) lub od Brodzińskiego (autor rozprawy o K. Brodzińskim, zamieszczony w Przyj. Ludu, Nr. 46 — 48 Rok trzeci) datują. Przy najmniej nie jasno się wyrażają. Jak w historii świata, tak w dziejach umysłu ludzkiego, nic się nie dzieła przeskokami. W harmonijném i doskonałym dziele Boga wszystko harmonijnie się rozwija. Każde więc przejście, czy to z wieku do wieku, czy z okresu do okresu, musiało być przygotowaném, wyrobioném w przeszłości, nim nastąpiło. Uważmy! Każda myśl postępu pojawia się najprzód ciemna i mglista. Jest to raczej przecucie dopiero, które się budzi w duszach kilku wyższych nad wiek swój mężów. Zwolna rozwidnia, rozjaśnia się ono, tak idzie dalej, aż się wyrobi na jakiegokolwiek już duszy pojęcie. Wtenczas ciskają je jeniuse w pomrok wieku swojego. Następuje reakcja. Tysiące, miliony zastarzałych przesądów stawają zaraz naprzeciw; usiłują stłumić promyk prawdy, której niepojmują; zaciętsza więc walka. Lecz myśl Boska musi zwyciężyć, chociaż, zwycięża wolno, nie naraz. Liczba głosicieliów nowój myśli, coraz ją dokładniej pojmująca, już się znacznie pomnożyła. Tak coraz dalej rośnie, silniej się wzmacnia; aż nareszcie wychyli się z pomiędzy tych szeregów geniusz potężny, co skupiwszy w sobie, jakby w ognisku, wszystkie promienie błyszczących przed nim gwiazdek, całym słoń-

cem nowój zajaśnieje prawdy, pod którego razami wszystko przeciwne upada i kona. Otoż taki jest bieg historyi, taki oświaty, taki nareszcie szczegółowo jednej z jej gałęzi, t. j. poezyi.

Gdy naród nasz upadł, znikł z karty dziejów, zniknąć z nim poczęły i wesołe dźwięki piewców stanisławowskich. Bolesć owładnęła ich serca. I ta zaświtywać poczyną pierwszy brzask nowój naszej poezyi, mglisty i ciemny jeszcze. Poczyną ją Franciszek Karpiński. Pełne rzewności pieśni jego, malujące czas swój, są zaiste czémś więcej, jak prostymi hymnami poetety serca. Choć bowiem nie święci ich pamiętkom zesłłości, choć nie brzmi jej obrazami, są one przecież pomimo to czysto narodowemi, bo są głosem powszechności bolesnym, prawdziwym, a prawda jest jedném z głównych znamion dzisiejszej poezyi naszej. Co Karpiński przeczuwał dopiero, z lepszą już czyni wiedzą jeniálny jego następca Julian Ursyn Niemcewicz. Już on nie samą rzewnością tylko wyciska łyż z oczu narodu. On opiewa czyny i dzieje wielkich jego przodków; tworzy dumy narodowe, tworzy śpiewy historyczne. Wszakże głos jego nie przenika do wszystkich pierśi, bo lutnia jego nie zupełnie jeszcze swojską, jeszcze dźwięki jej więcej z serc wybranej tylko narodu klasy snute. Bliższym jest prawdy, więcej już w harfę całego uderzającej ludu, współzawodnik jego, pełen ognia i lirycznej wzniosłości, Woronicz. Lecz całkowicie prawie pojmuje myśl postępu następca, Kazimierz Brodziński, ów smętny sielski śpiewak Wiesława i tylu innych pieśni ludu. Ale mu zbywa na tój potędze geniuszu, co jakby skłą elektryczną przenikając od razu potrzeby i dążność wieku, pochwytuje głos jego. Acz już tak bliski, musi i on zdać prawo zupełnej chwały w ręce Tytana, który się wychylił teraz z ciemnych lasów litewskich. Mickiewicz występuje i zabłyska wielkim meteorom swego geniusza. Odgaduje od razu, czego chcieli poprzednicy jego, do czego zmierzała poezya rodzinna i natychmiast jej właściwy naznacza kierunek, staje się narodowym poetą w całej rozciągłości tego znaczenia. Słusznie więc nowój jej ery reprezentantem nazwany, chociaż, powtarzam, nie bezpośrednio twórcą.

Pisałem dnia 22. Sierpnia 1840.

B.....